



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Miłościwe lato przeszło *ad patres*, a jejmość jesień, w żółtym czepcu i zmiętym robionie, zajęła miejsce młodszego brata i rządzi się poswojemu, zaopatrując śpichrze i spiżarnie. Deszcze, burze, wichry i nawałnice przeszkadzały gospodarzom czasu żniw, burząc domki z kart, stawiane na wiosnę przez dobrą nadzieję i siostę jej, wyobraźnię. Zawiodły obliczenia rolników: ani plony w polu, ani owoce w sadach, ani kartofle nawet, nie dopisały; spodziewane dochody zmalały do połowy; czego słońce nie wypaliło, to woda zalała; i tak, z pięknych tęczyowych marzeń zostało się nie wiele w rzeczywistości.

Niektóre tylko pasma kraju szczęśliwiej ocalały, ale w ogóle rezultaty tegorocznych zbiorów zawiodły mniej lub więcej wszystkich.

„Odbijemy się na rok przyszedł“: tą zwyczajną piosnką pocieszają się nasi rolnicy, spoglądając na porośniętą pszenicę, lub na mało omłotne żyto, z którego podobno mąka niezbyt dobra, skutkiem ulewnych deszczów, szkodzących zbiorom na pniu.

Na miejskim bruku ruch zwiększony, zapowiada początek jesiennego sezonu; — *semper lo stesso*; zawsze jedno i to samo w kółko, zawsze tensam nieodmienny porządek, który staje się po kilku latach obserwacji tak monotonnym, że kronikarz mógłby się zazięwać pisząc, a cóż dopiero czytelnik, czytając tę jednostajną epopeję? Ktoby sobie zadał tyle pracy, by przejrzał wszystkie roczniki naszych gazet w ciągu lat kilkunastu, zobaczyłby w owych zwierciadłkach życia publicznego, szablonowe niemal podobieństwo ogniów, wiążących się później w cały łańcuch naszego żywota.

Wprawny felietonista mógłby też przygotować

sobie zapas artykułów *a priori*, w których główny ton i nastrój stosowałby się do przewidywanych okoliczności, do właściwej pory roku, do pewnych stale powtarzających się faktów i objawów.

Szablon-to zresztą nieunikniony; na jeden i tensam temat snują się tylko odmienne wariacje stylowe, zmieniają drobne szczegóły, ale kanwa taksama, tło jednakowe, deseń prawie podobny. Oh, i teraz, jakże nie wspomnieć o jesieni, jakże nie powitać wracającego ptactwa wędrownego na zimowe leże, jakże przemilczeć o operze włoskiej, o teatrzykach ogródkowych, w których rozsada Melpomeny ucierpiała tyleż, co kartofle w polu skutkiem przydługiej odwilży; jakże nie mówić o ożywieniu się pewnych objawów społecznego, towarzyskiego, artystycznego i ekonomicznego życia?—kiedy to pora właśnie potem.

Otóż nie: wyjdziemy z szablonu, zerwiemy z porządkiem kalendarzowym i będziemy mówić o rzeczach, dla których każda pora roku byłaby właściwą. Więc najpierw: słów kilka poświęcimy sprawie, od kilku tygodni zajmującej dosyć miejsca w szpaltach naszych pism codziennych—sprawie poruszonej przez warszawskich kapłanów słońca, służbę Heliosa, przez fotografów.

Panowie ci, po długich latach, przypomnieli sobie, że pracują za dużo i że należałoby im wypocząć, choćby jeden dzień w tygodniu, choćby w Niedzielę. Zaczęto się tedy namyślać, radzić, rozważać; ale, że zabrakło jednomyślnej zgody, *liberum veto* mniejszości zwyciężyło i projekt świętowania odłożony został *ad acta*. Praktyczne względy interesu stanęły na przeszkodzie myśli, w zasadzie słusznej i uczciwej; ale Bogiem a prawdą, nie było o co robić tyle hałasu. Praca panów fotografów, zależna od kaprysów słońca, nie jest znowu ani tak ciężką, ani tak utrudzającą; jedno retuszowanie wymaga może więcej i czasu i cierpliwości i życia sedenteryjnego; ale dałoby się to uregulować przez prosty układ z właścicielami zakładów fotograficznych. Jesteśmy za po-

szanowaniem każdej sprawy, wszelako nie chcieliśmy żadnej przeceniać zanadto; zrobił ktoś słuszną uwagę, że kiedy fotograf pracuje tylko ze słońcem, to jest mnóstwo biedaków, którzy ze słońcem i gwiazdami pracować muszą, dzień i noc.

Czyż nie należałoby owiele słuszniej ulżyć ich losowi?...

W argumentach za bezwzględnym świętowaniem w niedzielę odzywają się bezustannie przypomnienia zwyczajów praktycznej Anglii; ale też ta jedyna Anglia, tak odmienna pod każdym względem w organizacji społecznej, politycznej, rodzinnej, wyróżniająca się wybitnymi cechami charakteru i indywidualności od innych narodów kontynentu, jest może unikatem swego rodzaju wśród całej Europy. Czy dałoby się do nas żywcem przystosować wszystko to, co w Anglii wyrosło niejako z duchowego pnia narodowej tradycji, urzędów społecznych i rodzinnych, moralnych i ekonomicznych?.... Bezwzględne naśladownictwo, choćby najlepszych wzorów, niezawsze jest możliwym i niezawsze pożytecznym.

Zresztą, jeżeli mamy przejmować od Anglików pewne formy, kształtować się według pewnych linii ich analityki społecznej, wybierajmyż te, które na początek byłyby najprostsze i najpotrzebniejsze do zastosowania u nas.

Nie wiemy n. p. czy to zapatrzanie się na Anglię i znakomity jej systemat solidarności, skłonił o naszych panów majstrów do powzięcia wniosku wspomaganie małemi datkami kas rzemieślniczych, ale uważamy to za rys bardzo dodatni i naśladowania godny. Dotychczas kassy pożyczkowe dla klas pracujących miały w gruncie rzeczy pewien charakter filantropijny, powstawały z funduszków ludzi, którym tylko szlachetne poczucie obywatelskie kazało spieszyć z pomocą dla poratowania bliźnich, zmuszonych do ciężkiej pracy, a narażonych na wyzyskiwanie lichwy; pisano dużo o tem i rozprawiano, że, aby moralne znaczenie instytucji wzrosło i silniej się oparło na gruncie

praktycznym, potrzeba głównie zainteresować solidarnością sferę, dla której instytucja ta założona została. Chodziło o nadanie kassom charakteru wkładowo-pożyczkowego, aby uczestnicy nie potrzebowali mówić zawsze: „to kassy dla nas“, lecz krócej i właściwiej nazywać je według słusności: „swoimi kassami“. Napozór mała to różnica, lecz w moralnym znaczeniu swoim bardzo ważna: inna rzecz stworzyć coś własnymi siłami, a inna korzystać z gotowego, z cudzych zasług, z cudzej łaski. W pierwszym wypadku poczucie własnej zasługi i własnych sił uszlachetnia ambycją i wyradza przywiązanie do instytucji, która jest niejako dziełem zbiorowej jednostki, jest organizmem; w drugim staje się tylko organem, narzędziem pożyczonym, lub darowanym przez osobę trzecią.

Pewne formalności prawne nie pozwoliłyby tej pożądanej zmiany kas pożyczkowych przyprowadzić tak szybko do skutku, ale choć w części upragniony cel dałby się osiągnąć właśnie przez urzeczywistnienie wniosku, który w dobrej woli najbliższej interessowanych znalazłby najszybszą sankcją i kwestyą rozwiązany na razie. Gdyby większość przynajmniej majstrów naszych, a dalej i podmajstrzych, a choćby i zamożniejszych czeladników, zgodziła się na składanie stałe, systematyczne, pewnych drobnych, względnie do dochodu choćby i najmniejszych, ofiar dobrowolnych na korzyść kas pożyczkowych, fundusze ich zapasowe zwiększałyby się bezustannie; ale, co ważniejsza, ta solidarność dodałaby instytucji powagi moralnej, której wpływ okazałby się jaknajkorzystniejszym w dalszym jej rozwoju. Z całego serca też należy przyklasnąć twórcom tego pięknego projektu, a nasze sfery rzemieślnicze zachęcić do jego przyjęcia i wykonania.

„Ziarno do ziarnka, będzie miarka“, a do tego miarka własna.

Jako uzupełnienie kas pożyczkowych w pewnym względzie, powstać winna kiedyś druga instytucja, moralny kredyt i kapitał mająca na celu; wspominaliśmy o niej sami już niejednokrotnie. Instytucją tą — Resursa Rzemieślnicza. Życie towarzyskie, ujęte w pewne karby i granice, rozbudzone szlachetną rozrywką fizyczną i umysłową, jest bardzo ważnym czynnikiem cywilizacyjnym: a takiego czynnika brak właśnie naszym sferom rzemieślniczym. Warstat, fabryka przez sześć dni w tygodniu, życie ciężkiej pracy, a potem dzień wytchnienia i zabawy — gdzie? w atmosferze dusznego szynku, bawaryi, lub ogródka, przy kieliszku lub kuflu.

Rzemieślnik nasz tak mało ma sposobności zektnięcia się w swobodnych warunkach z klasą oświeceniową, ograniczony jest tylko na swe najbliższe otoczenie, brak mu towarzyskiej ogłady, brak polerunku, jaki daje obcowanie w szerszych kołach. Wszystko to mógłby znaleźć w Resursie takiej, gdzie pożytecznie i przyjemnie spędziłby czas, z konieczności dzisiaj marnowany na przypadkowe, a najczęściej niezdrowe, uciechy i zabawy.

Mamy już gospody dla ludu, oparte na tejsamej zasadzie, i przekonaliśmy się o ich dodatnim wpływie tam, gdzie rozsądnie umiano zabrać się do rzeczy; niewątpliwie korzystniejszą byłaby działalność takich gospód rzemieślniczych po miastach.

Może niedaleka przyszłość łaskawszą będzie od przeszłości i powoli doprowadzi zamiar do celu, do którego byłoby bardzo blisko, gdyby się udało przejść warunki stojące jeszcze zaporą.

Co do gospód ludowych, to doświadczenie nauczyło, że zabrano się do ich urządzenia dosyć niezrecznie, narzucając im zgóry charakter jakichś refektarzy klasztornych, a nie miejsce wytchnienia po pracy i swobodnej, wesołej rozrywki.

Trudno było wymagać od ludu naszego, tradycyjnie przyzwyczajonego do karczmy, aby się wyrzekł wszystkich jej pokus i przyjemności, aby w herbacie, uważanej na wsi za ziółka, zasmakował naraz lepiej, niż w blaszance gorzałki, która dla jego organizmu stała się niemal potrzebą; aby lubiący głośną rozmowę, przymuszał się do szeptu i gdy mu „czczo na wnętrzu“, siedział w gospodzie przy kubku studziennej wody, z wygasłą fajką w rękach. Taka zabawa nie mogła odciągnąć go od karczmy, do której po rekolekcyach w gos-

podzie powracał tembardziej spragniony. W porę przeto spostrzeżono omyłkę i postarano się ją naprawić. Nie karczma jest złą sama w sobie, bo bez niej egzystencja na wsi byłaby dla naszego wieśniaka niekiedy bardzo utrudnioną, ale nadużycia w karczmie są szkodliwe; wpływ karczmarza najbardziej demoralizującym, atmosfera pijaństwa zabójczą. Odejmiemy karczmie to wszystko, co dzisiaj otwiera granice swawoli i nadużyciu, hulance i pijatykom, oddajmy ją pod kontrolę ludzi uczciwych i światłych, pozostawmy w niej atmosferę rozrywki, lecz zdrowej i umiarkowanej, słowem: przemiejmy ją w prawdziwą gospodę z wiejskiej spelunki, a dopniemy celu.

Prawda, że z ludem naszym niełatwo sobie poradzić, że trzeba silnej zapory, aby rozhulawczy się, nie obalił jej od jednego rozmachu; ale można go powoli wdrożyć do nowych form, przyuczyć do przyzwoitej zabawy, a odzwyczaić od wybryków. Na początek obecność jakiejś poważniejszej osobistości we wsi, któraby umiała i chciała być regulatorem i hamulcem takiej zabawy w gospodzie, wystarczyłaby najzupełniej do osiągnięcia celu i utrzymania równowagi.

Pozostawmy jednak tę sprawę ludziom uczciwym, a głębiej od nas myślącym nad dobrem naszego ludu, i wróćmy na bliższą widownię naszego życia społecznego.

Oto obowiązek kronikarski każe nam zapisać fakt, który zapowiada się nader korzystnie, jeżeli przyszłość nie zepsuje dobrych chęci i nie sparaliżuje zamiaru w porę podjętego. Mamy tu na myśli projekt pani hr. Zyberg-Platerowej, założycielki nowej szkoły praktycznej dla dziewcząt i kobiet, w której udzielana ma być nauka rzemiosł, za opłatą i bezpłatnie. Zaczyna wnioskodawczyni poświęca nawet na ten piękny cel część swoich funduszy, które pokryć mają przypuszczalne niedobory i starczyć na utrzymanie niezamożnych uczennic do czasu ukończenia nauki. Życzymy jaknajlepiej nowej instytucji, która oby miała sale przepelnione i wszystkie miejsca zajęte od początku przez pilne pracownice; lecz zastanawia nas fakt dotychczas dość często się powtarzający, a zatem godny rozważenia i zbadania ze strony tych, co z nowem początkowaniem w sprawie pracy kobiecej występują publicznie.

Oto kobiety nasze skarżą się na swą upokorzącącem dołą, na stanowisko zacieśnione, na brak środków i sposobności wykształcenia się choćby fachowo i zapewnienia sobie równowagi materialnej w życiu: a tymczasem większa część usiłowań prywatnych w powyższym właśnie celu kończyła się zawodem i brakiem poparcia ze strony najbardziej interessowanej. Mielśmy i mamy zakłady wspólnej pracy kobiecej, szkoły fachowe, szkoły kucharskie, rzemieślnicze — a jednak tylko wysiłek, tylko upór niemal, założycieli, czy założycielek tych instytucji, zdolał im zapewnić dłuższy lub krótszy żywot publiczny.

Dla czego tak?.. Dla czego sprawy, zdaje się żywotne — tak mało znajdowały dotąd poparcia? Czy wina leżała w wadliwej organizacji tych wszystkich zakładów, czy w niepraktyczności ich kierunku, czy — co byłoby najsmutniejszym — w obojętności naszych kobiet, przekładających frazes nad czyn, rezygnującą nad próbę zwyciężenia losu?..

Może nam dzieje nowego zakładu hr. Zyberg-Platerowej odpowiedzą rozstrzygająco na to pytanie.

W każdym razie zasługa to szanownej filantropki, że ze współzucia dla doli biedniejszych sióstr swoich pragnie stworzyć dla nich instytucję, która nauczy je uczciwie pracować na kawałek chleba i utoruje im drogę do samodzielnej egzystencji w przyszłości.

Druga zacna myśl zrodziła się w sercu jednej z obywaterek Warszawy, myśl macierzyńska, liतोściwa i godna wszelkiego uznania. Wiadomo, ile nieszczęśliwych ofiar grzechu, zapomnienia, upadku ginie na naszym bruku miejskim, ile biednych podrzuconych niemowląt, oderwanych od łona wyrodnych matek marnieje co rok w samej Warszawie tylko... Nadwstrzymaniem złego radzono i pisano wiele, ale dla praktycznego załatwienia sprawy zrobiono — prawie nic. Otóż obecnie pani M. poruszyła projekt urządzenia częścią własnymi,

częścią składkowemi funduszami, przytułków wiejskich dla podrzutków.

W okolicy Warszawy możnaby umieszczać te nieszczęśliwe maleństwa i żywić je, nie tylko zdrowiej, ale i taniej, niż się to dzieje w Szpitalu Dzieciątka Jezus, który złośliwie, lecz, niestety, nader trafnie, nazwano swego czasu „fabryką aniołków.“

Oby zamiary zacnej pani M. nie rozbiły się o jakie nieprzewidziane przeszkody i nie ugrzęzły znowu, jak tyle innych projektów dobro i honor społeczny mających na celu.

Zmiana jednej sylaby podsuwa nam kwestyą, stojącą obecnie na porządku dziennym naszych spraw dopiekających niegodziwie; po *podrzutkach*, wspomnieć winniśmy o *wyrzutkach* społecznych, o owych lichego gatunku Donżuanach ulicznych, których w ostatnich czasach namnożyło się takie mnóstwo, że aż policja musiała zająć się tym plugawym rojem, łączącym po warszawskim bruku. Stało się rzeczą niebezpieczną dla przyzwoitej kobiety chodzić samej po ulicach, zwłaszcza o zmroku, lub używać przechadzki w ogrodach publicznych bez towarzysztwa poważniejszego obrońcy. Zaczepki, karygodne insynuacje, bezcelne komplementa i propozycje ze strony tuzinkowych lowelasów przesiadują najuczciwszą kobietę. W ciągu zeszłego miesiąca dwadzieścia kilka spraw tego rodzaju oparło się o kratki sądowe; a iluż śmiałków uszło bezkarnie!.. Pięknych doczekaliśmy się czasów w tej eleganckiej Warszawie: bez męskiego konwoju kobietom z domu chyba nie wolno będzie wychodzić.

Z konieczności wejść może na jesień w modę laski zamiast parasolek, które w danym razie posłużą naszym paniom za broń przeciw napastnikom.

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S****

(Dalszy ciąg)

IV.

Krzyżacy i goście opuścili salę; pozostało w niej tylko czterech rycerzy zakonnych, a mianowicie komturzy: Sonnenberg, Salzbach, Schwelborn i młody rycerz Konrad von Zugehör, z orszaku hrabiego Wende, któremu tenże hrabia, odchodząc, polecił czekać na siebie w sali.

Komtur Schwelborn, wielki zwolennik rozrywek światowych, skinął na jednego z minstrelów, iżby pozostał; giermkowie zastawili winem stół, przy którym czterej rycerze zasiąść mieli, i zaraz potem wyszli.

Brat Andrzej Sonnenberg w humorze posępnym, jak dżdżysta noc jesienna, rzekł do siedzącego przy sobie komandora:

— Poszli sobie nareszcie... Przyjemnie mi, Konradzie, żeś usiadł przy mnie. Wolę twoje sąsiedztwo, niż wszelkie inne. Przysuń mi ten puhar!

Młody rycerz, którego twarz nosiła na sobie ten wspaniały typ piękności męskiej, jaki dotychczas jeszcze niektórzy ze szlachty kurlandzkiej i inflanckiej zachowali, uczuł się osmielonym temi kilku słowami komtura, który rzadko do kogo w sposób tak uprzejmy przemawiał. Sonnenberg nalał sobie puhar i wypił. Tymczasem Schwelborn rzekł do minstrela, który, stojąc z arfą przed stołem, czekał na jego rozkazy:

— Słuchaj, panie minstrelu! — przed chwilą, ty i twoi spółbracia śpiewaliście piosenki, które, co się tyczy żywoci i wesela, zbliżyły się do Psalmów Pokutnych. Teraz więc, kiedyśmy zostali sami, zaśpiewaj nam jaką balladę lub romans, któreby

nam choć cokolwiek życie światowe przypomniały. Czy rozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem—dostojny panie!
Minstrel nastroił arfę i zaśpiewał:

O słodkie oczy, o czułe słowa!
Długoście były mem szczęściem całym.
O słodkie oczy, o czułe słowa!
Pocóż, niestety, wam dowierzałem?
Zawsze w uczuciach mych jednakowy,
Będę miłości wiernym do grobu,
Bo spotkać znowu ani sposobu
Tak słodkich oczu, takiej wymowy!

Tak jeszcze młoda, a już tak płocha,
Zdradza tak prędko, chociaż tak kocha:
O słodkie oczy, o czułe słowa!
Pod wami serce lekkie się chowa.
Bóstwu miłości ona podobna,
Bo również wietrzna, również nabożna;
Nie—nie miał nigdy bóg miodo-słowy
Tak słodkich oczu, takiej wymowy!

Koi żal serca rozwaga zdrowa:
Po cóż się gniewać, wyszydząć dumnie,
Tak słodkie oczy, tak czułe słowa;
Kiedy się zwracać przestały ku mnie?
Lecz rad rozumu smak piółunowy:
Wolę, niestety, moje cierpienia,
Bo nadto kochał, by zbyć wspomnienia
Tak słodkich oczu, tak czulej mowy!

Nigdy cię moja nie zrani mowa:
Młoda piękności! Ja cię kochałem.
I zawsze wielbić będę z zapalem,
Twe słodkie oczy, twe czułe słowa!
Jechać, gdy każesz, jam ztąd gotowy,
Tam, gdzie mnie czeka zgon niezawodny;
Bo, choć cię stracę, lecz stracę godny
Twych słodkich oczu, twej czulej mowy 1).

— Przecudnie, minstrelu! — zawołał Schwelborn — twoja ballada warta jest pięciu sztuk złota.

Sonnenberg westchnął, jakgdyby jakieś dalekie echo doleciało go z czasów pierwszej młodości, wypił drugi puhar i w milczeniu skinął na minstrela, iżby śpiewał dalej.

Po tym romansie nastąpiły jeszcze dwa czy trzy w podobnym rodzaju. Schwelborn i Salzbach, pokątny rozpustnik, który nawet nie pojmował uczucia uszlachetnionego, odkryli je hucznymi oklaskami. Pierwszy dał śpiewakowi kilka sztuk złota; drugi, zdobywszy się na hojność, złożył na stole, coś naksztalt dzisiejszego talara pruskiego; nakoniec, młody Konrad, lubo wcale nie bogaty, sięgnął także do kieszeni, ale zatrzymał go Sonnenberg, który od kieszki puharów nie odrywał się ożywił.

— Stój, Konradzie! — rzecze — byłem dłużnikiem twojego ojca przed laty. Mój-to obowiązek uiścić ten dług i za ciebie zapłacić.

— Mojego ojca? — odrzekł młody człowiek. — Jakożywo, wielebny panie; mój ojciec prócz złotych ostróg i miecza a dobrego imienia, nic na tym świecie nie posiadał.

— Ciszej! — rzekł Sonnenberg. — I odkądże-to młodzież zakonna śmie zaprzeczać komturom?

Z temi słowy wyjął z trzosa dwadzieścia sztuk złota i oddał śpiewakowi, mówiąc:

— Połowa ode mnie, a połowa od mojego młodego sąsiada.

Minstrel uklonił się głęboko, a Sonnenberg mówił dalej:

Uznaję twój talent, panie minstrelu. Śpiewasz tak, jak niegdyś trubadurowie śpiewać musieli. Ale daj mi twoją arfę! Rzadkie bywają chwile

wesela—i prędko przemijają.—Daj mi arfę! I ja chcę zaśpiewać; czuję się w dobrem usposobieniu.

Sonnenberg wprawną ręką przebiegł po strunach i zaśpiewał:

Czyż i do uczy trzeba wam podniety?
Górą wesele! Niech żyją rycerze!
Niech żyją goście i piękne kobiety!
Niech pan mistrz za nas odmawia pacierze!
My czcimy nektar nadreńskiej krainy;
A pan mistrz wodę i postną wieczerzę.
Nam miłe boje i huczne festyny;
Panu mistrzowi brewiarz i pacierze.
Blask pięknych oczu wcale go nie nęci;
Wzgardził on wszystkim, co lubią rycerze;
Zapewnie młodość wyszła mu z pamięci:
Niechaj więc za nas odmawia pacierze!
Wypijmy zdrowie pana wielebnego,
Co biały habit pokochał tak szczerze!
Zdrowie Konrada, hochmajstra 1) naszego!
Niech za nas wszystkich odmawia pacierze!

— Twoja piosenka, bracie Andrzej — zawołał Schwelborn, bijąc w dłonie z zapalem — więcej jest warta, niż wszystko, co dziś śpiewano.

— A więc zapłata minstrelowi w białym habicie i zbroi! — odrzekł Sonnenberg. — Należcie mi wina!

Markward von Salzbach, który, z natury będąc podejrzliwym, bał się gwałtownych uniesień Sonnenberga z jednej, a mściwych zamysłów z drugiej strony, uchwycił tę sposobność, aby się doń zbliżyć; wzięwszy jego puhar, napełnił go winem.

— Dlaczego ci tak drży ręka, wielebny kommandorze? — zapytał z urąganiem Sonnenberg. — Mógłby kto pomyśleć, że mi nie wino nalewasz?

— I cóż za dziwna idea! — odpowiedział Salzbach. — Przyznaj, bracie Andrzej, — że tym razem zbyt gorzko sztychasz sobie w przyjaciela.

— Szydź? Bynajmniej. W przewielebnym zakonie zdarzają się różne wypadki... dzięki chrześcijańskiemu cnotom, z których słyniemy przecież po świecie...

— Zkąd ci się wziął tak nagle ten humor posępny? — zapytał Schwelborn.

— Dziwię się wesołości twojego... Żadne wspomnienie jej nie zakłóca... Ale dość tego. Słuchaj Konradzie!

— Słucham waszej wielebności, — odrzekł młody rycerz.

— Jak ty uważasz: czy właściwą jest i przyzwrotną rzeczą, iżby kobiety bywały na ucztach zakonnych?...

Zanim Zugehör odpowiedział na to pytanie, przeczorny Markward Salzbach, przewidując burzę wrzącą w sercu Sonnenberga i lada chwila wybuchnącą gotową, odprawił minstrela, jako niepotrzebnego świadka.

Tymczasem Sonnenberg mówił dalej:

— Postaw się na chwilę w położeniu przełożonego, i powiedz, czybys na takie uczyt półzakonne, półświeckie pozwolił?

Młody rycerz, wychowany w surowych zasadach, policzył Sonnenbergowi to pytanie za zasługę i wziął je za dowód jego przywiązania do reguły zakonnej, choć z drugiej strony jego sonet, tak świeżo odśpiewany, poddawał różne wątpliwości. Pomyślałszy więc kilka chwil, odpowiedział:

— Być może, wielebny panie, nie bywałbym sam na takich ucztach... bo i dlaczegoż nie wyznać szczerzej prawdy? Jako nędzny a słaby grzesznik obawiałbym się zetknięcia ze światem, pełnym, jak powiadają, sidiel i zgorzenia; ale, dzięki Najwyższemu, nie wszyscy rycerze naszego zakonu są takimi, jak ja, i widać, że w podobnych ucztach nie masz nic zdrożnego, jeżeli nasz dzisiejszy, wielebny kommandor tutejszy, słynny ze swojej mądrości zakonnej sam pozapraszał damy i zachęcał wszystkich do wesołości?

— Jak dawno jesteś w Zakonie? — zapytał Sonnenberg.

— Rok temu wykonałem śluby, — odpowiedział Konrad.

— Jeżeli tak, to nie dziwię się, że wierzysz jeszcze w mądrość przełożonych. Nim drugi rok upłynie, stracisz tę wiarę, i przekonasz się nawet, że najprzewielebniejszy pan, wielki mistrz Zakonu Teutońskiego, jest tylko prostym jak my wszyscy, śmiertelnikiem, z tą jeszcze różnicą, iż jemu głupstwa jego, chociażby najcięższe, uchodzą bezkarnie.

— Ach! wielebny panie! — rzekł Konrad z przestraczeniem.

— Nie wierzysz? — zapytał Sonnenberg drwiąco. — To żałuj, żeś ośm lat temu nie był razem z nami na Litwie za najprzewielebniejszego Konrada von Wallenrod. Otworzyłyby ci się oczy podówczas i wiedziałbyś, że nie było szaleństwa, któreby sam sternik i mocarz Zakonu za wzbronione sobie poczytał. Jeżeli zaś mężowie z takimi tępmi głowami mogą być wybierani na kierowników państwa, to cóż powiemy o samych wyborcach? Miałeś nawet i dziś jawny dowód mądrości jednego z nich...

— Jaki, panie kommandorze?

— Widzę, żeś nie słyszał rozmowy wielebnego Rumpenheima z tą hrabiną Elwirą. Czyż nie dowiodła mu ona, jak dwa razy dwa cztery, że ojcowskie rządy Zakonu na Żmudzi, zamiast dopomagać do krzewienia wiary, służą raczej za narzędzie rozboju. Biedny Rumpenheim! Próbką wysokiego stylu i deklamacyi nie udała mu się wcale...

Sonnenberg umilkł, lecz tylko na krótką chwilę. Nalał sobie puhar i przemówił znowu:

— Dziwne, zaiste, towarzystwo dla mnichów: kobiety i dzieci!... Ta hrabina Elwira...

— Przecudna kobieta! — zawołał Schwelborn. — Prawdziwa piękność nadreńska z włosami koloru złotokłosej niwy, z oczami błękitnymi jak niezapominajka...

— I cóż mnie jej wdzięki obchodzą? — rzecze Sonnenberg.

Konrad w szczerości swych uczuć chętnie-był głosował za zniesieniem uczt zakonnych, na których ukazywały się kobiety, to też teraz spojrzawszy z głębokim uznaniem na Sonnenberga. Tymczasem komtur mówił dalej:

— Poco ona tu przyszła?... poco przyprowadziła z sobą to dziecię?... Dziwne zdarzają się podobieństwa...

I umilkł znowu. Wino odurzyło go, mimo to sięgnął znowu po kielich.

— Należcie mi, proszę! Pali mnie pragnienie...

— Dosyć już piłeś, bracie Andrzej! — odpowiedział nierozważnie Schwelborn, — Wino szkodzi twojemu zdrowiu...

— Cóż to? — zawołał gwałtownie Sonnenberg. — Odmawiacie mi? Precz ztąd! Sam widok białego habitu przemuje mnie wstrętem... Precz!...

Dwaj komturzy zbledli, a młody rycerz powstał i chciał wyjść z sali.

— Zostań, Konradzie! — zawołał Sonnenberg, chwytając go za rękę. — Zostań! Nie do ciebie mówiłem... Ty masz pogodę w myśli, w sercu niewinność... Nie odchodź, proszę ciebie, twój przełożony kazał ci czekać...

— Zaczekam gdzieindziej, — odrzekł młodzieniec.

— Kiedy on kazał ci czekać tu, nie gdzieindziej... Posłuszeństwo zakonne tyle znaczy co nabożeństwo. Zostań, Konradzie!... Odmówimy Psalmu Pokutne, szczególniejszemu psalm „De profundis...“ modlić się będziemy za umarłych...

— Wieczne odpocznienie racz im dać, Panie! — odpowiedział rycerz.

— Twoja modlitwa wzniesie się do nieba!... Czy będziesz się modlił?...

— I któżby się wymawiał od tak świętego obowiązku?

— To powtarzaj za mną: „Omnibus in Christo quiescentibus, locum refrigerii, lucis et pacis ut indulgeas, deprecamur te, Domine“. — A czy to rozumiesz?

— Rozumiem: to są słowa Mszy Świętej: „Wszystkim w Chrystusie spoczywającym, miejsce ochłody, światła i pokoju racz wyznaczyć, prosimy Cię, Panie!“

— To dobrze: mów za mną dalej: „A dusze

1) Tłómaczenie starej francuzkiej piosenki, z rodzaju tych, które w Wiekach Średnich nosiły nazwę „Lai“, zaczynającej się od słów: „Tant doux regard, tant doux langage“.

1) Poniemiecku wielki mistrz nazywał się „Hochmeister“.

twoich niewinnych Jana i Jerzego, racz, o Panie, wynagrodzić wiekuią w niebie aniołów Twoich zapłatą!

Śmiertelna bladeść powlokła twarz dwóch komturów obecnych, a Konrad powtórzył znowu:

— „Wieczne odpocznienie racz im dać, Panie!”

— Zazdroszczę ci, Konradzie! — rzekł znowu Sonnenberg.

— Czego, wielbny panie?

— Szczerości twojej modlitwy i żywości wiary... ja... ja się tak modlić nie mogę... Ten habit... ale dość tego... Należcie mi wina!...

Tym razem Markward Salzbach pośpieszył ze spełnieniem żądania Sonnenberga, który, wypiwszy puhar, zwrócił się znowu do Konrada:

— Czyś ty widział kiedy złego ducha?...

— Poczóż go wywoływać? — odrzekł rycerz, żegnając się nabożnie.

— Otóż, — rzecze Sonnenberg, — masz ich trzech przy sobie... wszyscy trzej... w białych płaszczach, jak widma, które... choremu spokojny sen zakłócają...

Z temi słowy, zmorzony trunkiem, zaczął powoli wpadać w odętwienie; mimo to mówił dalej:

— Poco tu przysłała ta nadreńska hrabina... ze swoim synem?... Dziwne podobieństwo... z tam tym... Ten puhar obozowy Witolda... odjął mi przytomność... ale to przejdzie... Co jednak znać przepowiednia starego?... I mistrz i komtur i rycerz zakonny upadną... w boju jak kłosa... Mniejsza o to... wszystko musi mieć koniec.

— Usnął nareszcie, — rzekł półgłosem Schwelborn. — Nie dziw się, bracie Konradzie, tej scenie. Sonnenberg ma najlepsze serce; ale popijanemu wpada w gwałtowne uniesienie. Zapomnij więc o tem, na co dziś patrzysz!

Zaledwie komtur tych słów domówił, dzwony w kościele uderzyły, wzywając księży i rycerzy kommandoryi brandeburskiej na nokturny.

Sonnenberg zerwał się ze swego krzesła, blade, drżący i przerażony.

— Cóż to jest? — zawołał. — Czy to kto umarł?

— Nie, — odrzekł Salzbach. — To dzwonią na nokturny; ma się rozumieć na braci tutejszej kommandoryi. Szkoda, żeś się obudził. Spałeś tak smacznie. Może jeszcze jeden puhar, kommandorze?

— Nie masz puharu, w którymby wspomnienie zbrodni utonęło! Koniec uczty, koniec wesela... i znowu noc bezsennej! — odrzekł Sonnenberg ponuro, i chwiejącym się krokiem wyszedł z sali.

— Na miłość boską, wielbny panowie! — zapytał Konrad z przerażeniem. — Cóż to wszystko znaczy? Widziałem nieraz kommandora Sonnenberga, lecz zawsze trzeźwym i nigdy tak gwałtownie wzruszonym, jak tego wieczora...

— Sonnenberg, — odrzekł Schwelborn po chwili namysłu, — nie może się pozbyć wspomnienia pewnego nieszczęścia, którego był prawie naocznym świadkiem. Nie znam szczegółów, wiem tylko w ogólności, że klęska ta dotknęła osoby, których życie gotów był swoim własnym okupić. Zdarzyło się to już dawno, i każdy inny człowiek zapomniałby o niej, ale Sonnenberg, przyjaciel szczery i gorący, uczył ją tak głęboko, i że i teraz po upływie lat wielu... w stanie podnieconym, wyobraźnia przedstawia mu różne okoliczności tego smutnego zdarzenia... Przypisuje on je czyjejsz zbrodni, ale chociaż niewiele wiem o niem, uważam jednak, że to podejrzenie niesłuszne, i że w tem, co zaszło, widać było jedynie naturalny bieg rzeczy. Tak nawet nieodżałowanej pamięci nieboszczyk wielki mistrz tę sprawę rozumiał.

— W rzeczy samej, — zauważył młody rycerz, — kommandor Sonnenberg musi być człowiekiem gorącego serca i czuje aż nazbyt żywo nieszczęścia, które dotyczą jego przyjaciół. Co za szkoda, że przy takich przymiotach serca, przy wielkim rozumie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Ciężkie czasy i stare zale.— Monopol. — Kulturkampf. — Słota i ziarno.—Bieda.—Kryminaly i dzienniki.—Czytelnicy sądowych sprawozdań.—Kongres reformatorów w Dreźnie.—Przygotowania na przyjęcie Cesarza Niemieckiego.—Wystawa Wereszczagina. — „Niebelungi” spodziewane w Dreźnie.—Parsifal.—Korespondencya Racheli, wydana przez J. Heylli. — Układ książki.—Rodzina.—Rachel, losy jej, charakter.—Janin.—Comédie française; Rachel i Ristori.—Listy z Warszawy.—Dochody.—Rafael, brat artystki; jej dzieci.—Pożegnanie ostatnie z Paryżem.

Możnaby naznaczyć nagrodę za pokazanie człowieka dzisiejszych czasów, a szczególnie tego dżdżystego roku, któryby wesołym był i — nie narzekał.

Płacz i zgrzytanie zębów są powszechne. Kto się nie zaziębił i nie zamoczył, ten z pewnością doznał jakiegoś innego rodzaju zawodu i — narzeka.

Rok, któregośmy już dwie trzecie skonsumowali, zapisze się w pamięci ludzi jako wyjątkowo niefortunny. Niemcy cieszą się tylko, że uniknęli zagrażającego im monopolu tytoniowego, chociaż są tacy którzy utrzymują, że dopóki żyw ks. Bismarck, nie można być pewnym, aby się on pod jakąś nową formą nie zjawiał. Pochlebiano sobie, iż ów kulturkampf, tak niewłaściwie nazwany, miał się skończyć; tymczasem rozgorzał on nawiązo z powodu sprawy małżeństw mieszanych i proboszczów tymczasowych, którzy, nie przez władzę duchowną, ale świecką, zostali powyznaczeni. P. Schlözer przybył do Berlina, dwa razy jeździł do Warcina i powrócił do Rzymu, a półurzędowe dzienniki głoszą, iż żadnych więcej ustępstw ks. Bismarck już nie robi. Inni szepczą, że uczynionych jakoby dopatrzeć się nie mogą.

Niech sobie mówią co chcą, a niebios a i gwiazdy, meteorologiczne zjawiska, w których wpływ na ludzi wierzyły Wieki Średnie, wywierają wistocie wrażenie potężne na humory, na usposobienia, a przez nie i na cały bieg wypadków.

Deszcz i ślota odbijają się w historii, choć nowsze dziejopisarstwo zapiera się tych małych przyczyn. Narzekania słyhać wszędzie — na lato dziwaczne, a powracający od wód zarzekają się, że nierychło znowu wybiorą się do nich. Z tego śmiać-by się można, gdyby deszcze nie zrzuciły milionowych szkód na polach i w urodzajach.

Wszystko to da się nam uczuć, a szczególnie uboższej i pracowitej klasie ludności. Wychodźstwo do Ameryki zwiększyć się może.

Mówią, że w tej sprawie wychodźstwa nowe się jakieś prawo przygotowuje.

Kronika kryminalna, jak nigdy, obfita w morderstwa, rabunki, zbrodnie i samobójstwa. Wszystkie niemal dzienniki zapełnione są rozprawami sądowymi o tych przyjemnych objawach choroby społecznej, a rozpowszechnianie szczegółów nie przyczynia się do umoralizowania ogółu. Wpływ tych do zbytku wyzyskiwanych sensacyjnych processów, które chciwie czytają najmniej ukształceni ludzie, jest niezawodnie szkodliwy. Jednakże żaden dziennik nie chce się ich wyrzec, bo stanowią one pewną atrakcyę dla czytelników. Mielśmy tu świeżo przykład szesnastoletniego chłopca, który zamordował służącą i miał zamiar zabić, dla ograbienia, swego pryncypała, z takim obrachowaniem i rozmysłem, iż wprzódy zbadał prawo i przekonał się, że jako małoletni śmiercią karany być nie może. Był on jednym z najgorliwszych czytelników najpaskudniejszych książek i najbrudniejszych dzienników.

Dreźnie przygotowuje się w tej chwili do dwóch wielkich demonstracji. Pierwszą z nich ma być kongres tak zwanych Reformatorów, to jest Antysemitów z całych Niemiec. Dlaczego oni uszczęśliwili Dreźnie, wybierając je za miejsce właściwe do swych narad, nie wiemy, chyba może, iż tu stosunkowo ludność izraelska jest najmniejszą i niewielkie ma znaczenie. Przez jakiś czas sądzono, że władze miejscowe sprzeciwią się lub utrudnią zebranie kongressu, lecz zaprzeczono temu;

narady tylko nie będą publiczne, ale w kółku zamkniętem.

Wielkiej ważności i wpływu przypisywać im nie można.

Świetnie bardzo wypaść ma przyjęcie cesarza Niemiec, do którego już się nadzwyczajnie czynią przygotowania. Cesarz Wilhelm przybywa tu dla manewrów wojskowych, które trwać mają od 14 do 18 t. m. Miasto buduje łuki tryumfalne, sposobi się do kantat, serenad, illuminacyj, a artyści w strojach średniowiecznych złożą hołd w imieniu sztuki. Niema wątpliwości, że wszystko to będzie bardzo piękne i że ściągnie tłumy. Dziś już, na dwa tygodnie przed wjazdem i manewrami, miejsca lepsze na trybunach są rozprzedane.

Na ciekawych nie zbywa, choćby rzecz nie była ciekawą. Tego rodzaju obchody, na których spodziewają się tłumów, pociągają jakąś siłą niewytłómaczoną. Każdy chce tam być, gdzie się może udusić, zmęczyć, nie zobaczyć, ale będzie mógł później powiedzieć: *Quorum pars fui*.

Oprócz tych spodziewanych uroczystości mieliśmy, kończącą się właśnie, wystawę obrazów Wereszczagina, która była zwiedzana bardzo licznie. Jako artysta, Wereszczagin różni się wielce od znanych współczesnych, zupełnie odrębną indywidualnością. Jestto jakby fotografia z natury, a w większej części obrazów konwencyonalne, przyjęte, oklepane warunki kompozycyi, oświetlenia i t. p. są zuhwalnie pominięte. Taki jest widok świątyni w Indyach, białej, jasnej, prawie bez cieniów, na której tle kilka postaci naturalnie ustawionych nadzwyczaj dobitnie się malują, choć środki zdobycia tego efektu są bardzo proste. W obrazach z Wojny Wschodniej tragiczne wrażenie wywołuje prawda, zimno, realistycznie odworowana z natury.... Ambulanse, pobojowiska, lazarety przerażają tem nieklamaniem, nieidealizowaniem, prostem powtórzeniem tego, co oczy schwytały.

Obrazy Wereszczagina ztąd idą na dalszą po Europie wędrowkę.

Mielśmy też w małym teatrzyku, Residenz-Theater, oglądać Wagnerowskie „Niebelungi“. W ostatniej chwili teatr się okazał zamałym i umowa została zerwaną. Obrachowano widać, że, nawet przy podniesionych cenach, kosztowne widowisko nie byłoby p. Neumannowi przyniosło takich zysków, na jakie liczył.

Wyniknie ztąd proces zapewne.

Pielgrzymowali z Dreźnie mnodzy słuchacze do Bayreuth dla słuchania „Parsifala“; — i powrócili zachwyceni, zziębnięci i głodni. Nowy plód dwoistej muzy Wagnera, mistyczna historia św. Graala, wywołuje zdania nader różne. Najbezsronniejsi sędziowie godzą się na wielkie piękności utopione w nieznośnie długich recytatywach. Wykonanie tej opery-oratoryum ocaliło ją, gdyż miało być nadzwyczajnie, nieporównanie doskonałem.

W takich warunkach dzieło, mierne nawet, czyni wrażenie; cóż dopiero takie, w którym są przyémione dziwactwem błyski geniuszu?

„Parsifal“ dla niezmiernie skomplikowanych efektów dekoracji, światła, przemian czarodziej-skich, których jest może zawiele, z trudnością będzie mógł się ukazać na innych scenach, dla których — dotąd przynajmniej — nie jest przeznaczony. W roku przyszłym mają go powtórzyć, lecz wątpią o tem ludzie, aby teatr monachijski znowu został dla Bayreuthu poświęconym. Czysta pozostałość z dochodu, która ma być na rok przyszły zachowana, wynosi 120,000 marek, a ogólny przychód do 480,000 liczone. Z naszych muzyków wiemy tylko o dyrektorze Konserwatorium Warszawskiego, Alex. Zarzyckim, który dwa razy wysłuchał „Parsifala“.

Wydawanie korespondencyj znakomitych ludzi, a nawet nie samych literackich gwiazd zgasłych, jak Lamartine, Balzac, pani Sand i t. p. jest zawsze na porządku dziennym. Nie można zaprzeczyć, że większa część ich ma wysoką wartość, chociaż jest to materiał surowy, wymagający po czytelniku, nie tylko pewnego przygotowania i znajomości czasu, osób i dziejów, ale umiejętności wnioskowania i tworzenia sobie całości z rysów rozpięrzonych. Pod tym względem, jako zmuszające do myślenia, do pracy, korespondencye są czytaniem pożytecznym, nauuczającym i kształcą-

cem. Leniwsze też umysły niełatwo w nich zamakują; bo z siebie coś dołożyć do nich potrzeba i ci, co na moralną dispepsję cierpią, niedobrze je trawia.

Do znacznej liczby wydanych świeżo dołączyć potrzeba ciekawą: „Rachel i jej korespondencya przez Jerzego d'Heylli (Rachel d'après sa correspondance. Paris. Librairie des Bibliophiles, 1882, gr. 8-o, str. 308, cztery portrety i fac-simile). Należy dać tembardziej sprawozdanie z tej książki, że ona, dla stosunkowo wysokiej ceny, popularną nie będzie. Cztery pięknie sztuczowane wizerunki przez Massarda i zbytkowne wydanie nie dozwoliło się bardzo rozpowszechnić tej pamiątce po sławnej artystce.

Rachel, pomimo artykułów Janin'a i kilku bardzo króciuchnych biografij, dotąd bliżej była znaną w tych kołach, które sztuka dramatyczna obchodzi, nieledwie tylko z pogłosek i plotek o dość excentrycznym życiu. Niedawno ogłoszona powieść, w której bohaterce upatrywano pannę Rachel, jest fantastyczno-realistycznym wybrykiem, który w rachunek wchodzić nie może (La Faustin). Nie jest wszakże niepodobieństwem, że ona spowodowała zebranie i wydrukowanie listów, które mamy przed sobą, widocznie przeznaczonych na to, aby pamięć artystki w jaśniejszych barwach — odżywiły.

To, co nam daje p. J. d'Heylli, przyjaciel rodziny Felix, — przypisując swój zbiorek Lii i Dinie, siostrze Racheli, jest tylko małym wyciągiem i rzeczą ułamkową. Szło widocznie o to, aby wszelkich drażliwych stron, tajemnic serca i życia nie zdradzić, a nawet nie dotknąć. Już sam wzgląd na dzieci artystki żyjące, na dwóch jej synów, p. Alexandra Colonę Walewskiego i pana Felixa, czynił to koniecznością.

Dano wyciągi tylko, które, pomimo ułamkowości swej, dosyć są zajmujące i rzucają pewne światło na artystkę i kobietę. Szkoda wielka, że listy do Janina i Samsona, który był głównym i jedynym mistrzem Racheli, zaledwie zużytkowane zostały.

Układ też książki, dosyć dziwny, przyczynia się do tego, że postać główna ciągle się nam epizodycznie przedstawia, a te sceny życia niedobrze się dają w całość jakąś połączyć. Listy, bez względu na czas i na osoby, ułożone są przedmiotowo, wplecione w rodzaj opowiadania i objaśnień, które bardziej niecierpliwą czytelnika, niżeli mu w pomoc przychodzą. Dzieli się więc to na następujące ustępy: Rodzina Racheli, Rachel i Samson, Komedya Francuzka, Dowcip Racheli Proces o Medeę (Legouvé). Podróże na prowincyę, Wędrowki po Europie, Wycieczka do Ameryki, Podróż do Egiptu, Choroba i śmierć.

Smutne to są dzieje. Rodzina była bardzo ubogą, ojciec przekupniem, wychowania żadnego, do końca życia Rachel ortografii się nauczyć nie mogła, ale wyposażenie od natury nadzwyczajne. Rachel nigdy bardzo piękną nie była, ale myśląca twarzyczka, wejrzenie pełne wyrazu, nadawały jej wdzięk i urok nadzwyczajny. Temperament prawdziwie wschodni, krew gorąca, szły w parze z umysłem cudownie usposobionym do rozwinięcia się bez przechodzenia wszystkich tych stopni normalnych, jakich wykształcenie w pospolitych ludziach wymaga. Rachel była obdarzona intuicyą szczególną, darem jasnowidzenia. Najlepszym tego dowodem są pierwsze jej listy, gdy się je z ostatnimi porówna.

Cała rodzina zresztą obdarzona była od natury bardzo szczęśliwie, szczególnie kobiety; wszystkich członków jej łączyły zawsze węzły najserdeczniejsze. Rodzice Racheli przeżyli ją o lat kilkanaście; a ona młodszą, ulubioną, siostrę, Rebeke, o lat kilka. Z życiorysu i listów widać, że to życie artystki dramatycznej, pełne było nieustannych wrażeń, wzruszeń, czasem niesłychanych trudów bez wytchnienia, a prztem wszystkim dramata serca, które także przeżyć było potrzeba i każdy z nich przeboleć — musiały nawet najsilniejszą zламać organizacyą.

Urodzona około r. 1820, zmarła w r. 1858; dobiła się europejskiej sławy, dosyć znacznego majątku (około 1,200 000 fr.) w ciągu stosunkowo krótkiego czasu. Uczennica Samsona, jak on sam mówił, winną mu była wszystkie wskazówki, ale

własnemu tylko geniuszowi — natchnienie w tych głównych rolach klasycznych, które stanowiły jej repertuar wyłączny. Z listów widzimy, że tu teorya i rozumowanie, rachunek chłodny, nader małe miały znaczenie i wagę. Rachel, jakeśmy mówili, siłą intuicyi jakiejś tworzyła swe role.

Sama ona powiada, że w dramatach z życia współczesnego wziętych — natchniona się nie czuła. Co więcej nawet — współcześni pisarze, jak Legouvé (Medea) nie budzili u niej tych władz, które Corneille i Racine z duszy jej dobywali. Występując w dramatach W. Hugo, pani Girardin i t. p., Rachel była zawsze znakomitą ale już nie ową genialną artystką z „Cinny“, „Andromaki“ i „Tankreda“.

Sławę swoją — to nie ulega wątpliwości — w tym Paryżu, który wszystko sobie rozgłosem, modą, zręczną reklamą narzucić daje — winną była w początku dwóm felietonom Janina w „Debatach“ — owego naówczas sławionego i za wyrocnię uchodzącego Janina. On na nią zwrócił uwagę — reszty dokonał własny jej ten geniusz wrodzony. Niezaprzeczonem i to jest, że cudowne wskrzeszenie i odżywienie klasycznego repertoaru, pochlebające miłości własnej Francuzów, wiele się przyczyniło do zjednania jej sławy.

W rolach mniejwięcej komicznych, z życia pospolitego wziętych, jak w „Tartufie“ Molière'a — nie była tak szczęśliwą.

Raz uznana — przyjęta do składu Comédie Française — gdy imię jej było w tysiącu ustach, szła dalej zwyciężką pochodem, zdobywając sobie laury coraz nowe. Wycieczka na prowincyę, pod względem finansowym bardzo pomyślna, podała myśl podróży do Londynu, która także się powiodła. Poszły za tem wędrowki po Niemczech, zamówienie do Petersburga — a nakoniec wyprawa do Ameryki, która nie odpowiedziała pokładanym nadziejom, a wywołała groźny objaw choroby piersiowej, już nieuleczonej. Nie pomogły na nią, ani klimatyczna podróż do Egiptu, ani pobyt w Cannes, gdzie (w Cannet) zgasła przedwcześnie.

Stała właśnie w tej chwili może na najwyższym stopniu artystycznego rozwoju, w pełni sił swych, i śmierć przecięła pasmo, jakby umyślnie, aby nie dać jej dożyć wycieńczenia i znużenia. Cieleśnie była już złamaną wprzódy, ale z listów widać, że duch nie ucierpiał na tem. Przeboleła tylko to, co w Paryżu przewidzianem było i nieuchronnem: zaćmienie chwilowe przez Ristori, która z kolei była w modzie — *tout Paris* zapełniał salę, gdy grała — a współcześnie na reprezentacyę z Rachelą szli tylko wierni jej wielbiciele. Dotknięta tem była boleśnie.

W zbiorze listów wydrukowanym dwa są datowane z Warszawy. Oba dla naszej miłej, pięknej stolicy, którą w przejeździe tylko i chwilowo dotknęła Rachel — dosyć niepoehlebne. Wszystkiemu temu winien podobno hotel, w którym Rachel stanęła (nie wiemy który) — tak nadzwyczaj drogi (według listu), iż musiała się wyrzec obiadu i uciekać co najprędzej. Skarży się także na bruk niegodziwy. Znużenie podróży, niecierpliwosć osiągnięcia celu co rychlej, usposobienie wogóle, przyczyniły się do wrazenia niekorzystnego. Z podróży do Rosyi, która przyniosła 300,000 franków, była R. nadzwyczaj zadowolona. Oskarżano często Rachel o zbytnią chciwość zysku; przyznaje to pan d'Heylli, ale udawadnia, że umiała być bardzo hojną i była litościwą. Dziwić się zresztą nie można, że znając kapryśną publiczność francuzką, która tylu swym artystom dała umierać w nędzy, chciała sobie na starość niezależny byt zapewnić. Podróż do Ameryki, czysto spekulacyjna a zabójcza, była pomysłem a nawet rachunkiem i kontraktem brata Rafaela wywołaną, i jego za nią odpowiedzialnym uczynić należy.

Listy Racheli wogóle są żywo pisane, a niekiedy czysto francuzkim dowcipem zaprawne. Są w nich omyłki ortograficzne aż do końca życia — ale stylu ich nie powstydziliby się pisarz z powołania — i pewnie-by go wynaśladować nie potrafił. Płynnie to zpod pióra łatwo, zręcznie i nadaje korespondencyi właśnie ten urok, jaki mieć powinna: pisanej, niewymuszonej rozmowy.

Nie przywodzić prób, bo są rzeczy, które się tłómaczyć nie dają.

Jako kobieta, córka, siostra i matka, Rachel okazuje się pełną czułości; nigdy najmniejsza chmurka nie zaćmiewa tego pogodnego horyzontu życia familijnego. Ojca i brata mniej tu widać, ale matka występuje ciągle.

Poza ramami tej książki pozostają wszystkie stosunki, o których głoszone wiele. Nic o hr. Walewskim, którego imię nosi, przyznany, starszy syn Racheli. Urodzony w 1844 r. w Marly pod Paryżem, p. Alex. Walewski, był najpierw konsulem w Palermo, dziś jest podobno jednym z redaktorów w ministerjum spraw zagranicznych. Drugi syn, Gabryel Felix, służył w marynarce, był już porucznikiem na okręcie, ranny w oblężeniu Paryża i t. d.

Janin tak opisuje rozstanie się Racheli z Paryżem, przed wyjazdem ostatnim do Cannet: „Dnia tego, gdy Paryż opuścić miała, aby nie wrócić już aż w ciemnościach trumny — zapragnęła wstać bardzo rano i gdy jej przypominano, że o tej porze wyjechać nie było można, że mogłaby spocząć dłużej, odpowiedziała, że uczyniła ślub, iż musi odbyć pielgrzymkę, a przyjaciele i rodzina mogą się z nią pożegnać na dworcze kolei, którą odjeżdżała na Południe. Powiedziała to tonem stanowczym, nie znoszącym sprzeciwiania się; musiano wysłuchać, uważano tylko, że nigdy się tak nie śpieszyła z wyjazdem z domu. Gdy się ubrała i była gotową do odjazdu, zaniesiono ją do powozu; kazała jechać około teatru Gymnase, gdzie rozdząca się jej sława zajaśniała pierwszym blaskiem, a potem w stronę swego królestwa, do Théâtre français. Ranek, była to godzina szósta, zimny był i pochmurny; w mieście uspionem panowało milczenie, a wielki gmach okrywała cisza ogromna — pustką się wydawał. Przez mgłę ranną zaledwie dostrzedz było można drzwi pozamykane, balkon pusty, mury zimne i to wnijście nieznanne, do którego Rachel, będąc dzieckiem, tak często pukała, napróżno, rączką swą od zimna skostniałą — może od głodu. W tym dniu ostatnim, — widziała w myśli — w milczącym zapatrzeniu się, w progu teatru tego, wszystkie walki jakie tu przeżyła. Naostatek, godzina odjazdu nadeszła, powóz powoli opuścił ten plac żałobny, a Rachel wychylała się jeszcze, aby ostatni raz ujrzeć te mury grobowe. Przyjaciel nadchodzący wyrwał ją z tej zadumy smutnej... Z powozu, musiano ją wynieść w krzesło — iść nie mogła.“

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Odetta, komedya w 4 aktach, *W. Sardou*, z francuzkiego, przełożył Jan Arwin. — Z przeciwnych obozów, fraszka sceniczna, w 2 aktach, napisał *St. R. Stanisławski*. — Wiara, miłość i nadzieja, obraz ludowy, w 5 aktach, z muzyką, śpiewami i tańcami, *Staszczyka*.

Znowu sztuka francuzka i znowu kobieta upała! bo czyż może być wdzięczniejszy dla dramaturga francuzkiego przedmiot? Już nam ci Francuzi tak obnażają ją i rozkrawają swe wrzody, że zapominają się prawie już o tem, iż mają na sobie także i trochę zdrowego jeszcze ciała. *Odetta* od zeszłego roku już porusza widzów Paryża i innych stolic, porusza zarazem i pióra krytyków. U nas przedstawiono ją na początku lata r. b., ale z powodu nagłej choroby panny Marcello przedstawienia przerwano; teraz dopiero obecność pani Hoffmannowej pozwoliła je wznowić. Mamy tedy *Odette* i patrzmy na nią — poraz pierwszy, bośmy jej poprzednio widzieć nie mieli sposobności.

Oslawiona, okrzyczana, to znowu wychwalana, sztuka sprytnego Francuza przypomina owo ciasto, do którego wzięto wszystko w najlepszym gatunku, a które mimo-to, nie udało się i tylko doskonałym rodzinom swoim zawdzięcza przystępność dla zębów i podniebienia. Temat główny sztuki: — Czy można matkę, nawet występłą, odsuwać od dziecka? — jest źle upieczony, a tylko wyborne malowidło obyczajów nicejskich, obrazy szarlataneryi, pychy, oszustwa, lekkomyślności, tak przyciągają i więżą, iż bez nich *Odetta* byłaby czemś, spożyć się zdrowo niedającym. Już-to

spryt, graniczący z talentem, uczucie etyczne, prowadzące do szlachetnej satyry—nigdy akademika francuzkiego nie opuszczają. Jest on niezaprzeczenie większym dramaturgiem a mniejszym sofistą od Dumas fils; pisze, nie broszury dramatyzowane, ale istotne sztuki dramatyczne, bywa jednakże i on nieraz, przez chęć mędrkowania, przez niedowarzoną krytykę życia, sofistą, a przekonywa nas o tem między innymi i sztuka obecna.

Sardou, postawiwszy sobie powyższe pytanie i zaczawszy już na nie odpowiadać dramatem, zachwiał się później w przekonaniach, a ta chwiejność udzieliła się jego dziełu i wydała z siebie rysunek niestały, kolorysty mętny—rzecz jednym słowem, chybioną. Zdawało mu się zrazu, że nie wolno jest matce, nawet występnej i wygnanej z domu, wydierać dziecka, czyli, że mąż, zdradzony przez żonę, powinien utracić nie tylko ją samą, ale wraz z nią i własną krew swoją. Później spostrzegł wytwórca sztuk teatralnych, że przeprowadzanie takiej prawdy, obraziłoby najelementarniejsze uczucia człowieczeństwa, i zaczął się powściągać; pojedyncze frazesy jego dramatu mówią raz „tak“ drugi raz „nie“: ale ostatecznie dobra sprawa, choć w przygotowawczym tylko wyroku, wygrywa i żaden człowiek, co słuchać umie—a są, niestety, krytycy nieposiadający tego przymiotu—nie powie nigdy, żeby Sardou bronił bezwzględnie prawa matki; przeciwnie, rozwiązanie samo: potępienie, z ust córki spadające w sumieniu *Odetty*,—wskazuje, że pomiędzy dwiema wiązkami siana umieszczony rozum socyologiczny dramaturga przechyla się na stronę mężów, odrzucających od siebie swe żony, a zatrzymujących przy sobie swe dzieci.

Na inne pytanie postawione w dramacie: czy godzi się żonie wygnanej i rozłączonej szargać imię mężowskie po wszystkich ryzostokach Europy?—Sardou daleko wyraźniej i choć tylko dyalektycznie, ale z większą mocą i wartością przekonania, odpowiada. Oczywiście, rażąca anomalia, potwornie prawna otrzymuje od niego zasłużoną chłostę. Szarganie imienia, wstyd ztąd spadający na tych, którzy je uczciwie noszą—jest to rzeczywiście „pierwsze rucho“ dramatyczności w *Odeccie*: a ztąd i ważność powyższego pytania i nieuchronność jego w toku dialogów. Nikt tu nie może nie uznać i nie uczuć słuszności poglądu wygłoszonego przez autora. Temat jest jasny, pożyteczny i wdzięczny. Matka występna, napawająca się niesławą, zniknąć musi, aby córka jej uczciwie, w sferze sobie właściwej żyć mogła; u Sardou'a *Odetta* znika przez śmierć dobrowolną. Wtedy dopiero rodzina p. de Méryan zezwala na małżeństwo z Bertą. To arystokratyzm!—zawołacie—ależ i cnota i honor i prawosć są tylko arystokratyczną ducha, wzbijającą się nad powszednie objawy rodzajowego życia! Jeżeli taka дума ma być tylko znamieniem klas arystokratycznych, to życzyć należy klasom niższym, aby się nią od arystokracji zaraziły. Ideałów demokratyzować nie wolno. Czyste, uczciwe imię szewca również wysoko stać powinno, jak świetna mitra książęca. Prowadzstwo zostawiające żonie rozłączonej i pozbawionej prawa wychowywania dzieci imię jej męża jest tyrańskim i nedorzecznym. Same rozłączenie jako tymczasowość jest w takich wypadkach zabawką, naigrawaniem się z uczuć honoru i sprawiedliwości.

Budowa sztuki, jeśli ją rzucimy na stół probiereczy prawdziwego aryzmu, wyda nam dźwięk fałszywy. Prolog, rozdzielony 15-ma laty od właściwego dramatu—to coś tak oryginalnego w komedii, że gotowibyśmy dojrzeć w podobnym pomysle, jedynie tylko gonienie za oryginalnością. Można by wprowadzić powiedzić na usprawiedliwienie autora, który raz już postanowił sobie zrobić swą sztukę z pewnych określonych ingrediencyj, że wolał on sam uplastyczyć przed dramatem to, coby dopiero ludzie jego opowiadać musieli w ciągu dramatu. W samej rzeczy, opowiadania dawnych stosunków tak już zużyły się w swej formie, tak niewdzięczną stanowią dla talentu dramatycznego niwę, że nie można się dziwić, gdy kto chce rzecz zużyta i niewdzięczną, zastąpić nową, która mu lepsze obiecuje plony; w tym razie jednak Sardou działał bez istotnej potrzeby: stosunki małżeńsko-rodzinne p. Latour są tak proste,

fakt tak jasny, zawilść tak mała, teza etyczna tak łatwa do sformułowania, że autor takim aryzmem słowa obdarzony, jak Saidou, mógł bez krzywdy dla siebie pójść drogą ubitą i nowych nie szukać torów.

Wyborną zwykle charakterystykę jednostek zastąpił twórca *Odetty* charakterystyką całej tej społeczności, która w Nicei przepędza, nie tylko czas, ale cnotę, honor, rozum, mienie własne, albo też, utraciwszy już wszystko, co miała, poluje na cnotę, honor, rozum i mienie cudze. Jest to najlepsza część komedii, prawdziwie komiczna, rysowana z delikatnością właściwą Francuzowi, a przytem śmiała, dosadna i głęboka. Na trzecim akcie można się tak dobrze ubawić, że kto koniecznie naprzężonych stosunków nie szuka, ten z trzech innych aktów, bez wielkiego żalu skwituje. Szczupłe miejsce Sardou sobie zostawił na odmalowanie tego, coby śmietnikiem moralnym Nicei nazwać można; ale jakże znakomicie z tego miejsca skorzystał! Przepysznie tu wszystko pomysłane jest i przeprowadzone; od satyry nowożytnej na scenie trudno wymagać dokładniejszego, lepiej mądrą obserwacją życia napojonego, żywiej przemawiającego obrazu. Prawdziwie mistrzowski jest rzucenie na to mrowisko zło-dziejstwa i wszelkiego występku pary małżeńskiej państwa Morizot, dowcipnego Valançona, wyzłego Béchamela, słynnej baronowej Cornaro-Doria, która—pamiętajcie—pochodzi od Cornarów z Wenecyi i Doriów z Genui, a urodziła się zwykłą wietrzną paryżką. Ostrzeżenie dawane kapeluszem państwu Morizot należy do rzędu najszerszych efektów komicznych i wzbudza za każdym razem śmiech niepowstrzymany.

Główna postać dramatu niczem nie uderza. Najwybitniejszym znamieniem udratyzowanej jej treści nie jest to, co właśnie zrab jej natury stanowi: rozpasanie, ale zwierzęca drapieżność, z jaką broni się od winy swojej, a usiłuje zwalić na męża winę okoliczności, które sama wywołała. W ustach kobiety, która przyznaje się wręcz, że gdyby była mężczyzną, byłaby Don-Żuanem, wyraz: „to nikczemnie“ brzmiałby komicznie, ale sama groza chwili inny zupełnie nadaje mu dźwięk. Gdyby Sardou sam był bardziej zdecydowanym, miałyby więcej stanowczości i jego pani Clermont i cała sztuka. Bystry wzrok tylko dostrzeże uśmiechającego się ironicznie samego autora, poza wszystkimi wybuchami gniewu i oburzenia jego bohaterki; badawca tylko myśl uzna przedmiotowość w malowaniu tej postaci, z którą autor wstocie wcale się nie solidaryzuje: dla wrażeń sztuki istnieje tylko to, co jest w sztuce, co znalazło w niej swój niewątpliwy wyraz: co innego komentarz, a co innego utwór. Najlepszą może, najlepiej do rozwiązania nakierowaną, jest scena z córką; ale czy taka przekupka z aktu I-go i III-go mogła być takim milczącym posągami w akcie IV-tym? Nawet nadzieja zdwojonego zółdu nie zdoła takiej natury w równowadze utrzymać. Wreszcie samo rozwiązanie sprzeciwia się danemu charakterowi; zkad żal bez przygotowania, zkad taka skrucha za grzechy życia całego? Wyplęnęła ona—z kałamarza autora, a nie z prawdy serca, z tajników natury ludzkiej. Wolno było nieusprawiedliwiać przywiązania do niemowlęcia w akcie I-ym; ale nie podobna było nie usprawiedliwić przywiązania do córki osna-stoletniej w akcie III-cim i IV-tym. Jak taka wietrznica, mogła tak silnie zapragnąć samej tylko rozmowy z córką?

Córka ta—jest sobie niewinna jak stokrotek, jak konwalia leśna. Lekko tylko zaznacza w niej autor przeciwstawność, w jakiej-by się do matki znalazła, gdyby ją los z nią zetknął. Tragicznego stosunku, w jakim Wildbrant ukazał swoje *Córce pana Fabrycyusza*, Sardou do komedii swej wprowadzić nie chciał; a możnaby na takim stosunku, spotęgowanym jeszcze przez ujemność moralną matki, cały dramat osnuć.

Etycznie i artystycznie dobrym jest hrabia Clermont Latour; zajmującym, bardzo kunsztownie wykonanym—Béchamel. Co to za typ eleganckiego staro-kawalerstwa, które stoi na ruinie przeszłości, niczego nie pragnie i w nic nie wierzy, a dowcipem kituje rany i zapełnia próżnię swego serca!

Sztukę grano starannie. Staranną przedewszystkiem była gra p. Hoffmanowej (*Odetta*), ale była przytem daleką od doskonałości. O grze tej musieliśmy powtórzyć to, cośmy już dawniej powiedzieli, kiedy nasz sport krytyczny w ogóle wynosił artystkę krakowską pod niebiosa. Pan Tatar-kiewicz był wybornym Béchamelem, p. Leszczyński dobrym hrabią.

Przybyły nam do naszej zasobni widowiskowej dwie nowe sztuki oryginalne: p. St. Stanisławskiego (a właściwie hr. Rzewuskiego) *Z przeciwnych obozów* i p. Staszczyka, autora *Nocy Świętojańskiej*, *Wiara, Miłość i Nadzieja*. Pierwsza sztuka jest jeszcze studencką widocznie zabawką; człowiek w poważniejszym wieku nie mógłby takiej nedorzecznosci napisać. Chwalono przecież i tę sztukę—bo czegoż się u nas nie chwali i czego nie gani? Ale *in medias res*. Może chceś wiedzieć, czytelniku, co to za przeciwnie sobie obozy? Oto klasyki i romantycy. P. Fabiusz Pietrzycki, przepawszy się na stacyi kolei żelaznej, rozmawia z młodą wdową Maryą, nie wiedząc o tem, co zaczął, a własną ręką tej wdowy ciotka jej, pani Ludmiła, dawna ongi miłość p. Fabiana, pragnie mu oddać dla jego synowca, p. Filipa. Zkad się ci państwo znaleźli na stacyi kolejowej i jaki wpływ zasadniczy kolej na małżeństwa wywierać może; co zawinili ci wszyscy bohaterowie frazki jej autorowi; co mu zawinili słuchacze i sama sztuka dramatyczna, którą on tak straszliwie pokrzywdził? może to kiedyś szczęśliwsza od nas potomność rozstrzygnie. My tu poprzestaniemy na stwierdzeniu tego smutnego faktu, że z wyjątkiem kilku dowcipów dykteryjkowych sztuka p. St. mogła być stanowczo pójść do kosza. Sytuacją, wyciągniętą niemiłosiernie, naśladował autor ze znanej frazki p. Gawalewicza. Wszystko tu jest nieprawdopodobne, niesmaczne, ciężkie, nawet już i tłuste—a posiada ponad to wszystko zabijającą wadę: jest nudne. Kto widział takie głupstewko aż na dwa, wcale nie krótkie, akty rozprawadzać? Radzimy szczerze autorowi, aby niedojrzały swój owoc uprzętnął z teatru; wyjdzie to na dobre obu stronom. Nic tak nie zabija talentu, jak chęć popisania się, albo nim samym, albo jego surrogatem, tym ostatnim częściej, bo natura obficie go dostarcza.

Z *przeciwnych obozów* grano w Teatrze Letnim; aby zobaczyć sztukę pana Staszczyka, musieliśmy pójść do Bellevue. Tak tedy *Wiara, miłość i nadzieja*; a dlaczego nie w zwykłym porządku: *Wiara, nadzieja i miłość*? Ha, to już sekret p. Staszczyka. Sekretu tego nie jesteśmy ciekawi, bo wszystko nam jedno, co będzie pierwiej, co później w tytule, gdy niczego, ani tego, ani owego, niema w sztuce i gdy się wszystkie te wiary i nadzieje tłuką jak kobiałki za wozem. W sztuce, zwłaszcza w posługującej się piórem, oddawna już znana jest jubilerszczyzna; sztukę p. Staszczyka zaliczyć-by można do rodzaju: stolarszczyzna. Nadzwyczaj gruba, ordynarna, naiwna-to robota, ach, tak naiwna, że używszy już tego wyrazu, szukamy innego, któryby lepiej sposób przedstawiania się tej *Wiary* w świecie odmalował. Byliśmy dwa razy na obrazie ludowym p. Staszczyka, za każdym razem rozpacz nas ogarniała. Co za los! Mordować jak Shakespeare, trząść jak Słowacki, moralizować jak Kalwin, rozkliwiać jak Gessner, zabawiać jak Żółkowski lub Anczyc—i temi wszystkimi efektami dokazać tak mało, żeby po wyjściu z teatru została w głowie słuchacza i widza tylko udatna muzyka p. Noskowskiego, dziarskie mazury i krakowiaki, i powabne stroje ludu; czyż warto w takich warunkach być pisarzem dramatycznym? A może tylko krytyka jest niewdzięczną, niesprawiedliwą? Może—bo przecież publiczność przyjęła sztukę z gorącym uznaniem, a publiczność to gromada, a gromada to wielki człowiek, z którym już się krytykowi ani się mierzyć. Gdyby jaki Gauthier ułożył w *libretto* baletowe to, co p. Staszczyk włożył w swój obraz ludowy, zdaje nam się, że skutek byłby daleko lepszym; patrzyłoby się na *Wiare* jak na baśń czarodziejską: dziś widzi się figurki powycinane z papieru; spostrzega się, że cała ta groza tragiczna to tylko smok malowany; lekceważy się błyskawice i pioruny, które tak ważną w sztuce p. S. grają rolę; z uśmiechem słucha się Żarka, pozującego

w skonięciu na Franza Moora — wreszcie, żałując tych wysokich szczytów, na jakie wlaź autor, odczuwa się z niezmożoną potęgą tę prawdę, którą znają nawet Chińczycy, że geniusz ma zawsze prostotę dziecięcia.

S. K.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Bibliografia Estreichera.

— Najpracowitszy z bibliografów naszych wydał już dokończenie swojej *Bibliografii polskiej XIX stulecia*, jako tom VII całości. W tomie tym mieści się reszta dopełnień do pierwszych pięciu tomów, stanowiących część zasadniczą zbioru. Spis książek i druków wszelkich pochyla się z r. 1800, a sięga lat ostatniach, nie ograniczając się wcale do osmdziesięciolecia 1801—1880 r.: widocznie autor nie uwzględnił rady, którą mu jeszcze dawniej i na tem miejscu i w innych czasopismach dawano. Do całości *Bibliografii Estreicherowskiej*, oprócz pięciu pierwotnych tomów i dwóch z dopełnieniami, należy jeszcze zeszyt dodatkowy, wydany w r. 1873 wskutek życzenia komisji powszechno-wystawowej w Wiedniu. Obejmuje on 3.000 druków wyszłych w latach 1871/3. Szczegółowe, powiedzmy lepiej, drobiazgowo przejrzanie wszystkiego, co w skład *Bibliografii* weszło, samo jedno tylko dać może prawo do osądzenia wartości spisu i zawyrokowania o literackiej i naukowej zasłudze autora. Bez wątpienia: znajdują się błędy i opuszczenia, nawet jeszcze i po wydaniu dwóch tomów dopełniających, znajdują się i w samych tych tomach; całe dzieło jest raczej inwentarzem druków, katalogiem księgarskim i bibliotecznym, jakim je w przedmowie do Tomu I (str. XV) sam autor mieć chciał, niż systematycznie opracowanym wykazem naszej własności piśmienniczej, nabytej w ciągu bieżącego wieku: ale potrzebowaliśmy na początek przynajmniej tego, co nam daje obecnie Akademia za pośrednictwem swej Komisji Bibliograficznej, a dzięki trzydziestoletniej pracy K. Estreichera. Nie kwapimy się z wyrokiem tam, gdzie potrzeba długich studyów i wielkiej znajomości przedmiotu; wyrażamy tu tylko mniemanie, że poważna, prawdziwie sumienna, niezasypana oczu piaskiem, krytyka uzna *Bibliografię* za coś więcej niż za księgarski tylko katalog: uzna ją za cenny materiał do prawdziwie już naukowych opracowań, jakich porządna historia literatury, jeżeli ją mieć mamy, nieodbić dla siebie potrzebuje.

Pisaliśmy już o takich opracowaniach niejednokrotnie; zachęcaliśmy kogo należało, do ułożenia racjonalnych spisów, któreby, używając tytułów, inwentarzem siedmiotomowym objętych, jedynie za tworzywo, wytworzyły nam rzeczywistą naukową już, bibliografię. Kogo przedmiot tu poruszony zajmuje, ten w Nr 1 *Wiadomości bibliograficznych* p. Paprockiego znaleźć musiał ogólny obraz pomysłów do prac nowych, jakichby na podstawie spisu Estreicherowskiego dokonać można. Sił intelektualnych nie potrzeba wielkich; większych potrzeba pieniędzy, a zatem i dobrych chęci w ludziach, mogących nimi rozporządzać.

Komitet Kasy Pomocy Naukowej Imienia J. Mianowskiego postanowił był zrazu, dla uzupełnienia *Bibliografii*, wydać spis chronologiczny i przedmiotowy; później jednak odstąpił od ostatniego i przedsięwziął tylko pierwszy, powierzając pracę pp. Komarnickiemu i Minkowieckiemu, którzy ją w ciągu nadchodzącej zimy ukończą. Spis ten obejmie lata 1800—1881, a nawet 1882, to jest rozciągnie się na cały czasokres objęty przez sam katalog. O dalszych opracowaniach materiału, o uporządkowaniu tytułów przedmiotami, o oddzieleniu, rzeczy polskich od innojęzycznych, o odróżnieniu oryginalnych od tłómaczonych, o wyosobnieniu napisanych przez cudzoziemców, o ułożeniu spisu rzeczywiście umiejętnego dzieł mających prawo wejść do pi-

śmiennictwa, a nie samych tylko druków, o uporządkowaniu wydań pod każdym tytułem dzieła, o wskazaniu nazw osób i miejscowości występujących w tytułach, o zdemaskowaniu kryptonimów, pseudonimów i anonimów: o tem wszystkim nikt dotąd poważnie nie myśli; Mamy Bibliografię XIX stulecia, ale nie wiemy, ile rzeczywiście rozumem, sercem i wyobraźnią własną wytworzyliśmy sami w tem stuleciu. Tylko taki bibliograf, który już historykowi literatury rękę podaje, a historyk jej nie odpycha, zdoła dokonać takich umiejętnych opracowań, jakie tu wyżej ogólnikowo określono. Praca jednego człowieka dla bibliografii nigdy nie wystarczy: bibliografia jest w porządku literackim tą właśnie jego częścią, która nie tylko pracę zbiorową pozwala, ale się jeszcze pracy takiej dopomina. Pisaliśmy to już i powtarzamy, że kiedyś bibliografia każdego kraju będzie miała osobną swoją sekcję w ministerjum oświaty; tymczasem na służbę jej zaciągają się będą całe stowarzyszenia literackie; kilku, kilkunastu ludzi, podzieliwszy się pracą, lepiej jej zawsze dokona niż jednostka. Wspólna, wzajemna kontrola będzie pomocą, jakiej sam jeden człowiek w sobie samym nigdy nie znajdzie. Bez podziału pracy i bez takiej kontroli nie będzie nigdy i dobrej roboty.

Tak jest! Jedynie tylko zbiorowymi siłami, uzupełniając się wzajemnie i kontrolując, można prowadzić dobrą, dokładną, bibliografię. Dlatego, gdybyśmy nie liczyli się z przeszkodami i mieli tylko ideał swój przed oczyma, zaproponowalibyśmy wytworzenie towarzystwa bibliograficznego, rozpostartego na główne miejscowości. — Pierwsze podstawowe spisy wymagają pracy biurowej raczej niż literackiej i bez pomocy przywileju, nadanego przez państwo, nie będą nigdy dokładnymi. Największa nawet, najzamożniejsza biblioteka, jeżeli nie będzie otrzymywała *exemplarzy obowiązkowych*, nie zdoła nigdy katalogiem swoim objąć wszystkiego, co naród z biegiem czasu wytwarza. Najpewniejszym środkiem byłoby zobowiązanie wszystkich drukarzy pod przymusem i odpowiedzialnością prawną, do zapisywania każdego druku wychodzącego z ich zakładów, a niebędącego prostą tabelą, rejestrem, okólnikiem lub jakimkolwiek innym przedmiotem do wewnętrznego użytku w handlu, przemysle lub rachunkowości domowej przeznaczonym. Gdyby każde pominięcie i zaniedbanie obłożono karami pieniężnymi, spisy prowadzone w drukarniach kartkowo, a następnie odtwarzane dla komisji prywatnych lub urzędów publicznych — dałyby prawie niezawodne odbicie rzeczywistego ruchu drukarskiego, a następnie, po właściwem opracowaniu, i piśmienniczego. Estreicher widział to dobrze przy układaniu dopełnień i samej bibliografii kilku lat ostatnich, jak niewystarczającymi są siły jednostki a niezbędnym działanie zbiorowe; mając bowiem *Przewodnik* Dra Wisłockiego, znalazł w nim już, nie tylko sprawdzian dla swoich własnych zaznacheń, ale i właściwą podstawę do samej pracy. Żałować trzeba, że w przedmowie nie stwierdzono wyraźnie uczestnictwa, jakie pośrednio tym sposobem w pracy Estreichera przyjął redaktor *Przewodnika*.

Jednocześnie z ostatnim tomem bibliografii nowożytnej, zamykającym część pierwszą całkowitej pracy Estreichera nad spisaniem druków polskich, w Polsce wyszłych lub o Polsce traktujących — ukazał się, na początek części drugiej, dwa pierwsze zeszyty Tomu VIII-go, poświęcone spisowi druków od roku 1455 aż do 1651. O bliższym wyjściu tego spisu pisaliśmy tu, na podstawie listu autora: dziś już mamy gotową książkę przed sobą; druga jej połowa wkrótce się ukaze i wtedy ludzie zajmujący się drukami dawnymi, choćby tylko jako ich zbieracze, posiadają wielce użyteczny rejestr wydawnictw dawniejszych, od początku drukarstwa u nas aż do przedostatniego roku XVIII stulecia. Spis jest chronologicznym, ma więc już przez samą tę chronologiczność swoją, naukową wagę większą, aniżeli *Bibliografia XIX stulecia*. Część dotychczas wydana służy za uzupełnienie dla wydawnictwa w r. 1875 p. t. *Bibliografia polska XV i XVI stulecia*. Pierwszym materiałem dla ułożenia wykazu aż do środka XVII wieku, obok powyższej *Bibliografii* był spis spo-

ządzony przez p. Achillesa Brezę. Estreicher poprawił go i uzupełnił i według własnego uznania w całość umiejętną złożył.

W wybornie, z szerszym poglądem napisanej przedmowie Estreicher zestawia naszą zamożność piśmienniczą i książkową, z dobytkiem innych współplemiennych powszechności; liczbami samymi dowodzi i liczbami przekonywa, powołując się na zdanie samych bezpośrednio w porównaniu interesowanych. Co w przedmowach do tomów poprzednich było tylko zarysowaniem, to w tej tu poprzedzającej T. VIII, występuje w kształtach i kolorycie wykluczającym wszelkie mądra, na mądrość i ścisłość naukową pozujące krytycyzmy i sceptycyzmy. Liczby same dają świadectwo naszej cywilizacji; o stopniu rozwoju duchowego świadczyć już musi, nie liczba, ale treść, wydobyta i określona przez krytykę poważną, historyczno-literacką, naukową i estetyczną. Liczbę druków wyszłych do r. 1799 od początków drukarstwa podaje Estreicher na 73.000. Jeżeli dołączymy około 70 tysięcy z XIX w., otrzymamy w przybliżeniu 140.000. Zapewne: nie możemy się mierzyć z Francuzami, Anglikami lub Niemcami; ale też i nie potrzebujemy się przed nimi wstydić: słusznie więc uczucie szlachetnej dumy owiewa wstępne karty T. VIII Bibl. Estreichera.

Najbliżnijszem jest mniemanie, jakoby Estreicher spis swój podawał za wykaz wszystkich druków, jakie się ukazały w czterech wiekach od XV do XVIII. Mniemaniu takiemu ulegać może tylko ten, kto przedmowy do T. VIII nie czytał. Przeciwnie, bibliograf nasz wyraźnie mówi, że rejestr jego *nie jest bibliografią* i nie może uchodzić za zupełny. Redaktor tego rejestru zbyt jest wytrawnym, zbyt z pracą swą otrząskanym, aby to mógł gdziekolwiek, między wierszami, pomyśleć i w półsłowach ukryć. Spis jego przychodzi po tylu już innych, częściowych i ogólnych, ale zawsze, nawet przy ścisłem ograniczeniu się do jednego przedmiotu, niedokładnych i niezupełnych; biblioteki nasze tak mało jeszcze dla bibliografii zrobiły, tak jeszcze słabo związane są między sobą przez wymianę wiadomości o sobie: iż dziwnem powinno być, nie to, że Estreicher nie dał nam spisu zupełnego, ale to, gdyby, bądź jemu samemu, bądź komukolwiek innemu, udało się już dzisiaj sporządzić całkowity inwentarz spadku po przeszłości. I znowu tutaj występuje idea pracy zbiorowej, a występuje silniej jeszcze niż przy bibliografii nowoczesnej. Daremnie! Nie będziemy wiedzieli co mamy, jeżeli nie podzielimy pracy swej na dwie części: biblioteczną i historyczno-literacką; pierwszej zadaniem będzie spisanie kartkowe wszystkiego, co się znajduje w bibliotekach krajowych i porównanie kartek każdego księgozbioru z kartkami innych; druga będzie miała oboz wydobyc z świadectw przeszłości dzieła już zniszczone lub zaginione, zestawieć wydania, porównać druki z zachowanymi rękopismami, odzłodzić własność rzeczywistą od przywłaszczenia, pożyczki lub przyswojenia. Zdaniem naszym mieszanie obu czynności mać sprawę i przeszkadza w pracy. Niech jedni spisują to, co jest, i tylko to, nic więcej; niech znowu drudzy dochodzą, co jeszcze oprócz tego było, i stosunek jednego i drugiego oznaczają. Bibliograf własnym siłom pozostawiony może z pewnością przeświadczenia mówić tylko o tem, co widział i co miał w ręku, co troskliwie nie z samych tylko okładek i kart tytułowych opisał. Jak katalogi księgarskie dla XIX w. są tylko wskazówką, grubym surowiem, z którego tworzyć jeszcze bibliografię nie wolno, tak dla wieków dawniejszych wiadomości wszelkie i doniesienia o tyle jedynie wagę mieć mogą, o ile je podaje ścisła krytyka historyczna. Jeżeli bibliografia ma być księgą gruntową — a tylko taka księga może być dobrą bibliografią — powinna spisywać jedynie to, co na gruncie zastaje. Wszystko inne musi mieć dla niej znaczenie prostej pretensyi, której dopiero sądownie dochodzić potrzeba. Tem dochodzeniem właśnie zająć się ma historyk literatury.

Zadaniem ludzi pracujących poważnie w piśmiennictwie powinno być ogłaszanie sprostowań i dopełnień, tak do dawniejszej, jak do nowszej części Bibliografii Estreicherowskiej. Niech każdy, zamiast krzyczeć i krytykować, doloży swoje

cegielkę; z krytyk samych nie będzie budowy. Po wyjściu Literatury Bentkowskiego wydał Chłędowski całą książkę dopełnić do niej. Dziś powinniśmy kilku ludzi znających się na rzeczy podać prace K. Estreichera szczegółowemu przejrzaniu, aby, co wypada, sprostować i dopełnić. Co nie mogło się stać *przed*, musi się stać *po*. Wiedza nie należy do nikogo, a żywi wszystkich: niech każdy według sił swoich nad spotęgowaniem jej pracuje.

W *Wiadomościach Bibl.* (N. 7) znajdujemy już nieco dopełnień do pierwszej części T. VIII. Podał je p. Teodor Wierzbowski, przeważnie z bezpośredniego poznania dzieł, których Estr. albo wcale nie zna, albo też dokładnie opisać nie mógł. P. Wierzbowski pracował kilka lat za granicą; zajmując się głównie XVI w., badał z tej epoki *Polonica* Archiwum Państwowego i biblioteki publ. w Wiedniu, Bibl. król. w Dreźnie, Bibl. Watykańskiej i kilku innych w Rzymie i w tych właśnie bibliotekach wszedł w stosunki z książkami, nieznanymi Estr. lub znanymi tylko niedokładnie: wiadomości przeto, które podaje, są źródłowymi i poprzestać na nich można. Oprócz wskazówek własnych powołuje p. W. także i znajdujące się w dziełach dawniejszych i współczesnych. Dotychczas mamy 31 takich sprostowań i dopełnień.

ZYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli przechodzisz koło piekarni, i zapach świeżych ciastek pobudzi twój apetyt, strzeż się uleć pokusie łakomstwa, zanim się dowiesz ceny przedmiotu twego pożądania; gdybyś nie był uprzedzonym, rachunek mógłby cię łatwo o niestrawność przyprowadzić. W kawiarniach i restauracjach najwycieczajniejszy napój, mała przekąska staje się zbyt kosztownym wydatkiem. Powiecie mi zapewne, że przecież można żyć bez ciastek, i można gdzieś indziej gasić pragnienie, aniżeli w kawiarni. Bez wątpienia nie są to rzeczy niezbędne; ale, niestety, są inne, bez których nikt się obejść nie może. W tej krainie bagnisk i miazmatów lekarz jest koniecznością. Dwieście piastrow rocznie — to cena stała, jak bułki za dwa grosze. Niema się co wahać: zdrow czy chory, musisz płacić; bo bez tego abonamentu w razie choroby niewiadomo jak wysoko mogłyby zająć żądania niektórych uczniów Hipokratesa. Tosamo powiedziec można o dentytach. Strzeżcie się, przyjaciele, bólu zębów. Pamiętam, jeden z moich towarzyszy za niefortunną myśl, jaka mu przyszła, plombowania zęba, musiał zapłacić całą miesięczną pensją kadeta marynarki, i to już po znacznym znizeniu ceny pierwotnie naznaczonej przez dentystę. Była to łaska tego oprawcy ze względu na małą pensją biednego chłopca. W Szangaju monopol zawodu dentysty posiadają Amerykanie; zdaje się, panowie ci celują w doskonałości wyjmowania zębów trzonowych i przednich, jak również w sposobach znieczulania cierpiącego nerwu, ale w czem bezwątpienia przewyższają swych kolegów z całego świata, to w wyrywaniu dolarów z kieszeni.

Saint-Cyr, młody oficer marynarki siedzący dotąd spokojnie i jak zwykle pogrążony w zadumie, z której częstokroć przyjaciele jego żartowali, mówiąc, iż myślał zapewne o kuzynce Anecie, zwrócił się nagle do mówiącego Barrot'a:

— Powiedz nam cokolwiek o Japonii; dosyć już mamy twoich Chin.

— Chętnie, Sylwku drogi. W krainie *Wschodzącego słońca* przedstawiciele ludów łacińskich są

znacznie liczniejsi i cudzoziemcy, jak dotąd, mniej zaangliczeni, aniżeli w Chinach. Francya używa tam pewnej moralnej przewagi. Położenie to wynika z wielu względów, z których wiele, na nieszczęście wkrótce zniknie, unosząc ze sobą szczytki złudzeń naszych.

Tutaj opowiadanie Barrota zastąpić muszę historią faktów spełnionych, których byłem świadkiem podczas naszego w Japonii pobytu.

II.

Autor przychodzi do słowa. — Idźmy san. — Przyczyny przewagi Francuzów w tym kraju i ich znikanie.

Długi czas obecność w Jokohamie kompanii piechoty marynarki niemało wpływała na utrzymanie w umysłach Japończyków wielkiego dla nas uszanowania. Dzielni nasi, wybornie wyćwiczeni żołnierze czarowali rycerski ten naród, wielbiący z zapalem wszystko, co się odnosi do sztuki wojennej.

W Jokasce inżynierowie francuzcy, ludzie zdolni i zasłużeni, dawali krajowcom wielkie pojęcie o naszej nauce i naszej wiedzy technicznej, przez zbudowanie arsenału i fabryki okrętów. W Jokohamie znajdował się również szpital marynarki i magazyny zostające pod zarządem kommissarza, officera marynarki. Sztandar nasz dwadzieścia lat powiewał spokojnie w tym porcie, aż go pewnego poranku zwinęto; żołnierze nasi, odwołani do Francji, pożegnać musieli na zawsze uroczy kraj powabnych *musme* (dziewczęta). Długo pamiętać będę ową chwilę odjazdu. Jokohama od kilku tygodni przedstawiała niezwykle widok. Pomiędzy Europejczykami panował ruch niezmierny. Dlaczego? Czy pozostający w odrętwieniu handel miał się ożywić? Czy szło o jakieś nowe układy? Czy też może przygotowywano wraz z rządem japońskim nową wojenną wyprawę? Nie, nie ta była przyczyna. Oto wojska anglo-francuzkie zabierały się do odjazdu, kolonia europejska miała utracić część swojej składową ważną i miłą, a członkowie jej zapytywali siebie z pewnego rodzaju niepokojem: czy wskutek liczebnego zmalenia nie zachwieje się stanowisko Anglii i Francji? Dłuższy wszakże pobyt wojsk anglo-francuzkich, od chwili gdy rząd japoński wszedł szczerze na drogę reform, stawał się już daremną i ubliżającą tylko pogroźką; każdy też umysł postępowy rozumiał konieczność tej grzeczności względem Mikada i ustąpienie wojsk sprzymierzonych uznano w radzie gabinetowej, jako rzecz niezbędną; dzień zatem został naznaczony i wszyscy oczekiwali go — z przykrością.

Wojskowi przyzwyczaili się uważać Jokohamę za bardzo przyjemne miejsce pobytu, gdzie zawiązywali serdeczne stosunki; cywilni zaś, nie lękając się napaści ze strony Japończyków, czuli się jednak swobodniejszymi, pod osłoną trójkolorowego sztandaru i patrzyli z dumą na tę garstkę ludzi uosabiających ojczyznę i przedstawiających armię narodową.

Dlatego oddalając się ztąd, wszyscy byli smutni, dlatego wyprawiano codziennie pożegnalne bankiety.

Nareszcie wybiła oznaczona godzina; żołnierze Królowej i wojska Rzeczypospolitej miały równocześnie opuścić ziemię japońską, odjazd postanowiono na godzinę dwunastą w południe; na kotwicy stał okręt przybyły z Indji kilka dni temu, mający zabrać Anglików; również gotowe były do drogi pocztowe parowce francuzkie. O wschodzie słońca zawieziono pakunki odjeżdżających — o wpół do dwunastej wojska nasze opuściły koszary i uszykowały się przed gmachem francuzkiego szpitala. Wówczas zamieniono niejedną uścisk ręki, niejedna łza, powstrzymana w oku, padła na serce, dławiąc głos żegnający. Tłum, składający

się zarówno z Japończyków jak Europejczyków, cisnął się w około naszych szeregów. Niejedna tkliwa scena przeszła niepostrzeżoną: tu łzami zalana *musme*, aby raz jeszcze zobaczyć ukochanego — tam pyzaty *musko* (mały chłopczyk) rzuca się do kolan żołnierza.

Nakoniec zagrzmiął strzał armatni, rozległ się głos dowódcy, łodzie odbiły od brzegu i w pół godziny później Francya zbrojna była przedstawianą w Jokohamie tylko przez garstkę marynarzy, intendenta i doktora szpitalnego. Anglia równocześnie z nami wsadziła na okręt swoje wojsko, ale nazajutrz zaraz, widać było na ulicach snujące się czerwone mundury i sztandar Wielkiej Brytanii znowu powiewał nad angielskimi koszarami.

Francya wiernie spełniła przyjęte zobowiązania; Anglia także, tylko nie mogła się zdecydować na wyjazd, bez pozostawienia posiewu na przyszłość.

Odjazd ten był sygnałem rozproszenia Francuzów, szpital i magazyny uważane odtąd za niepotrzebne, zniesiono; wzgórze z koszarami, ziemię niemal francuzką, zwrócono Rządowi Japońskiemu, a inżynierowie z Jokaski udali się wkrótce za intendentem szpitalnym i doktorem.

Ale najpiękniejsza perła z naszej korony, główna przyczyna uznania naszego w Japonii, jest również blizką zniknięcia. Chcę tutaj mówić o inżynierach wojskowych w Jeddo, mających na celu organizacją armii Mikada. Inżynierowie ci, wybrani z pomiędzy officerów wszystkich oddziałów wojskowych, zostający pod dowództwem pułkownika, oddawna zjednali Francji sympatyą Japończyków. Jednakże, gdy lew francuzki uległ w nierównej walce 1870 roku, rząd Mikada pod wpływem niemieckich podszeptów, dał się opowiadać złym uczuciom; naród zwyciężony, powiedział sobie, nie może być dla nas wzorem: trzeba nam zwycięzców. Upływał właśnie termin francuzkiego zobowiązania: wezwano więc Prussaków, zawarto według zwyczaju trzyletnią umowę i pod nowym kierunkiem rozpoczęto znów ćwiczenia wojskowe.

Po miesiącu stosowanego systematu kija, razów kolbą i płazowań, Japończycy rozwiązali kontrakt; Prussacy powrócili do siebie z kieszeniami dobrze wyładowanymi wynagrodzeniem za niedotrzymaną umowę, a przyzwani napowrót Francuzi prowadzą w dalszym ciągu przerwana na czas jakiś naukę. Jedyne wspomnienie pozostawione przez bohaterów, to wstętna furmańska czapka, w którą zdążyli przybrać szeregi japońskie, ale officerowie już jej nie noszą, a żołnierze używają jej niechętnie i tylko do codziennego ubrania.

Drugim źródłem wpływu Francuzów na Japonię, jest znaczna ich liczba; oprócz bowiem urzędników przewozowej poczty morskiej w Jokohamie, oprócz konsulatów i księży misyjonarzy, jeszcze w każdym mieście znajduje się gromadka kupców francuzkich. Nie są to wielkie domy handlowe, lecz drobni przekupnie, sprzedający jedwabie, herbare, cacka; prawie też wszystkie magazyny, gdzie dostać można tysiące przedmiotów potrzebnych Europejczykowi, jak również hotele i kawiarnie są w ich rękach i aczkolwiek nie przynoszą im wygórowanych zysków, opłacają się jednak doskonale 1).

Z tego powodu ceny przedmiotów są względnie umiarkowane: naturalnie, płaci się wszystko drożej, aniżeli we Francji; ale nie jest się tak obdzieranym, jak w Szangaju.

1) Najlepszy hotel w Jokohamie utrzymuje dawny kucharz okrętowy; pierwotny zakład nabył on za cenę 2.500 franków, które otrzymał za parę królików domowych, sprzedanych jakiemś amatorowi japońskiemu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TREŚĆ. Pogawędka. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S*** — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Wiadomości naukowe, artystyczne i literackie. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.